

# Mokka

Po latach stalinowskiego absurdu i terroru w mieście zapanowała wreszcie odwilż. Pojawiła się nawet pierwsza w powojennych Pabianicach kawiarnia – „Mocca”. O jej historii pisało wielu autorów. Andrzej Stec w tygodniku Gazeta Pabianicka(1992 r.) odnotował jej zmierzch.

Wciąż ładnie wygląda duży szyld-neon. Cóż z tego, skoro jest nieważny. Ten drugi – ważny, choć znacznie mniejszy wisi tuż przy drzwiach, by nikt z wchodzących nie miał wątpliwości, że to nie „Mocca” już, a „Europa” i nie kawiarnia, a restauracja.

Los „Mokki” dopełnił się w listopadzie – miesiącu w sam raz na umieranie. Umarła kawiarnia, która dogorywała parę lat. Traciła gości i renomę od dawna i nie było na to silnego. Świeciło w niej pustką, co wieczorem było szczególnie przygnębiające. Wprawdzie kilku stałych bywalców schodziło się tam jeszcze codziennie około południa, ale coś znaczyła ta garstka wobec dawnej, tej sprzed kilkunastu lat, klienteli.

Powstała w 1957 albo 1958 roku i od razu stała się popularna. To był w kraju okres popaździernikowej odwilży, kiedy ludziom na nowo się chciało żyć. Skończyły się nagonki na „amerykański styl bycia”, zalegalizowano jazz i ... kawiarnie właśnie. Wcześniej władza krzywo patrzyła na lokale, gdzie popija się kawę. Co to za zajęcie dla spracowanej klasy robotniczej? Co innego bar mleczny z tanimi obiadami, albo restauracja, gdzie można zjeść i wypić, ale kawiarnia? Co dobre dla „zdegenerowanych inteligentów”, nie mogło być dobre dla mas.

Ale „masy” – jak zwykle – wiedziały lepiej i od razu zaakceptowały nowe, dopiero co otwierane, lokale. Tak było i z „Mokką”. Z miejsca stała się słynna nie tylko w Pabianicach, ale i w okolicy, Łodzi nie wyłączając. Często wpadali tu łodzianie na dancingi, na dziewczyny, albo zwyczajnie na kawę. Bywał tu – ho, ho – sam Roman Polański i do dziś niektórzy pamiętają jego biało-czerwoną lambrettę jak stała przed kawiarnią.

Lecz przede wszystkim bywały w Mocce” tłumy pabianiczian. W niedzielne przedpołudnia przychodziły całe rodziny, po południu i na co dzień – raczej młodzież, ale i nie jeden starszy też chętnie wchodził. Kelnerki ślaniały się ze zmęczenia, bo rotacja gości przy stolikach była wprost szalona. Często trzeba było czekać w szatni aż zwolni się stół, czy choćby jedno miejsce. Aby się dostać na dancing, zwłaszcza niedzielny – trzeba było okupować stół już od wczesnego popołudnia. Parkiet trzeszczał w szwach. Ile się na nim zawiązało małżeństw!...

Trzy czwarte klienteli to byli stali bywalcy. Znali kelnerki po imieniu i „rządzili” w „Mocce”. Nie były to żadne „rządy” chamskie, to była kawiarniana „elita”. Nie było dnia, by nie wpadli, przynajmniej po to by zobaczyć kto jest, a czasami przychodzili – pojedynczo lub grupami – już od 10, kiedy lokal otwierano. Gawędzili przy herbacie, czytali gazety, czekali na następnych. Jedni nadchodzili, inni wychodzili. Na dancingi albo wieczorami przychodzili z dziewczynami. Wtedy już rzadziej się grupowali.

Kto nie miał dziewczyny, mógł ją w „Mocce” poznać. Te bowiem, wbrew przestrogom swoich babć i co bardziej konserwatywnych mam, też wpadały do kawiarni. „Życie Pabianic” – rówieśnik „Mokki” pisało o takich obyczajach niezbyt pochlebnie, ale nie miało racji. To, o co chodziło purytańskiej gazecie, nie potrzebowało aż kawiarni, a już na pewno nie powstało w Pabianicach wraz z powstaniem „Mokki”. Ona była po prostu miejscem spotkań i różni ludzie skwapliwie to miejsce wykorzystywali zgodnie z jego przeznaczeniem.

Z czasem dopiero ją się szerzyć odwrót od kawiarnianego życia i trwa on na dobrą sprawę do dziś. Czajnik, domowy młynek do kawy skutecznie wyparły kawiarniany express, którego syczenie tak charakterystyczne było dla „Mokki” w jej najlepszym okresie.

Trochę więc żał lokalu, który niedawno wymazany został z gastronomicznej mapy Pabianic. Likwidacja kawiarni to tak trochę, jak wymazanie z pamięci obecnych pięćdziesięciolatków ich młodości. Niby logiczne, bo ta młodość nigdy już nie wróci, ale i smutne, że nawet sentymentalnego symbolu już nie ma.

Czy wróci w Pabianicach moda na kawiarniane życie? Być może, bo przecież tak naprawdę to na świecie nigdy ona nie przeminęła, a ostatnio mamy wszyscy ochotę być bliżej świata. Kiedyś coś ludzi z kawiarni wymiotło. Jeśli tym „czymś” była nieudolność państwowej gastronomii, to ani chybi come back nastąpi niebawem. Może gdzieś całkiem niedaleko dawnej „Mokki” powstanie nowa kawiarnia o tej nazwie. Bo nazwa jest przecież do wzięcia. (Andrzej Stec „Podzwonne dla Mokki”, Gazeta Pabianicka nr2/1992 r.)

Kultowej „Mocce” sporo miejsca poświęcili autorzy książki „Ulica Zamkowa w Pabianicach” (2004 r.)

(...) „Europy” w Pabianicach nikt nie żałował, bo nie zdołała wytworzyć wokół siebie aury zainteresowania. Inaczej było z jej długoletnią poprzedniczką – „Mocą”. Do dziś żywe są w mieście wspomnienia o tej kawiarni. Niektóre obrosły nawet mitami, których nie warto prostować. Wiele z jej niegdyśszych bywalców – zapominając, że czasu nie da się cofnąć – wciąż żałuje, że zabrakło w mieście osoby, która potrafiłaby wskrzesić kawiarnię z jej dawną atmosferą. Muszą się zadowolić przeświadczeniem, że to był kultowy lokal i koniec.

Wszystko zaczęło się w roku 1957. Polska nurzała się w gomułkowskiej odwilży, której potoki spływały także na Pabianice. Stawało się luźniej, swobodniej, weselej – słowem: bardziej optymistycznie i z nadzieją, że będzie jeszcze lepiej. Pojawiały się w mieście różne społeczne inicjatywy, przedtem – tzn. przed październikiem ’56 – hamowane ubeckim kagańcem. Jedną z nich było powołanie do życia nomen omen Życia Pabianic, nawiązującego do przedwojennych tradycji miejskiego tygodnika.

Od pierwszego numeru dużo w nim pisano o potrzebie kulturalnej rozrywki w mieście, o filizance „małej czarnej” jako przeciwwadze dla „setki czystej”, o kawiarni jako wyrazie aspiracji młodej inteligencji pracującej do awansu obyczajowego. Bo trzeba wiedzieć, że w mieście po wojnie nie było ani jednej kawiarni, a w przedpaździernikowej ideologii uważano ten rodzaj gastronomii za „zgniły”, „zachodni” nie potrzebny „ludowi pracującemu miast i wsi”.

Dziennikarze ŻP nie byli jednak aż tak odważni, by głosić nową ideologię spędzania wolnego czasu ot, tak dla siebie. Doskonale wiedzieli, co w trawie piszczy. Już bowiem zapadła decyzja o powstaniu w Pabianicach kawiarni i zaczął się remont w budynku przy wydziale finansowym.

W archiwalnym opisie nieruchomości przy Zamkowej 26 z końca XIX wieku jest stwierdzenie, że to „obiekt pałacowy, częściowo jednopiętrowy z werandą”. Owa „weranda” była ogromna. Miała solidną ścianę z oknami odgradzającą ją od ulicy, a jej boki stanowiły ściany pałacu i sąsiedniej kamienicy, zaś ogrodową budowlę przypominała tylko od strony południowej, gdzie był pałacowy ogród.

Tę to werandę zaczęto w 1957 roku adaptować na pierwszą w mieście po wojnie kawiarnię. W remont zaangażowano aż sześć przedsiębiorstw, a i tak roboty się ślimaczyły. Ich koniec planowano na święto 22 Lipca – nie zdążono. Drugi termin – święto Wielkiego Października – też zawalono. Wreszcie uroczyste otwarcie lokalu nazwanego „Mocą” nastąpiło na sylwestra 1958 roku, co dało asumpt do pierwszego balu z udziałem całej miejskiej wierchuszki.

Nie obyło się rzecz jasna bez przecięcia wstęgi, który to honor przypadł samemu ojcu miasta, przewodniczącemu Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, Feliksowi Hemerowi. Personel kawiarni był tak zestresowany, że niemal doprowadził do wpadki. Już wstęga wisiała w drzwiach, już się zaczęli zjeżdżać oficjele, a tu okazało się, że w lokalu jest wszystko tylko nie ... nożyczki. Sytuację uratowała sąsiadka, Jolanta Lortz. Powiadomiona telefonicznie o dramacie, przybiegła z domowymi.

Życia Pabianic na premierze „Mokki” zabrakło, a może byli, ale – ówczesnym zwyczajem – woleli się

tym na łamach nie chwalić. W każdym razie dopiero pod koniec stycznia 1958 roku taką oto wystawili jej recenzję:

„Nowy rok zaczął się dla pabianiczian pod dobrymi auspicjami. Od dawna oczekiwana nowa kawiarnia otworzyła swoje podwoje i pierwsi amatorzy pół czarnej mogą wreszcie spędzić miłe chwile w prawdziwie kawiarnianym nastroju.

Jest wreszcie lokal, o którym można śmiało powiedzieć – klasa. W tym słowie mieści się obowiązkowa szatnia, uprzejma obsługa, dobra kawa i wreszcie sam lokal, który ma w sobie „coś”, co roztacza urok od chwili, gdy usiądzie się przy stoliku. Pomysłowo rozwiązane wnętrze, przyjemna barwa ścian o niezbyt silnych kontrastach, pomysłowe, o nowoczesnych wzorach draperie, ciekawy motyw – jak gdyby żywcem wzięty z obrazu Picassa – dolnej części baru (...).

Autor artykułu – podpisany „Wuzet” – nie chciał być tylko pochlebcą, dwukrotnie „dołożył” kawiarni. Raz delikatnie: „wierzę, że kawiarnia będzie miała atrakcję w postaci zespołu muzycznego, który wypłoszy początki nudy – tej nieproszonej bywalczyni naszego lokalu, która w tym karnawale zawładnęła nim zupełnie (...)”.

Drugi raz już ostro: „Uważam, że obsługa winna bardziej stanowczo zajmować stanowisko w stosunku do gości już pijanych. Nie trzeba czekać, aż ktoś zacznie robić awanturę, aż zanieczyści lokal (co miało miejsce niestety 26.I. br.), ale „uprzedzić” go pośpiesznym wyproszeniem z lokalu. Nie zapominajmy, że to jednak jest – jakby nie było – lokal o pewnej renomie, jedyny w naszym mieście lokal pierwszej kategorii!”.

Pryncypialny był ten „Wuzet”, prawda? Pochwalić – pochwalił, ale ziarno konstruktywnej krytyki też zasiał. Jego opis samego lokalu ówczesnym czytelnikom pewnie wystarczył, ale teraz po – po 45 latach – trzeba go trochę uzupełnić. „Mocca” miała doprawdy rewelacyjny i supernowoczesny – jak na owe zgrzebne lata – wystrój. Podzielona była wewnętrzną ścianą na dwie sale: większą – konsumpcyjną i mniejszą – z barem, podestem dla orkiestry, małym parkietem, a nawet (uwaga! uwaga!) podwieszonym sufitem ze światłami. W końcu większej sali i przy parkiecie stały ogromne palmy, a całość wnętrza utrzymana była w barwie lekko zgazzonej czerwieni.

Gdy przyszła wiosna, okazało się, że „Mocca” ma też letni ogródek z balustradą oplecioną pnącymi kwiatami, a w nim kilkanaście stolików pod parasolami i także miejsce dla orkiestry.

Ludzie walili do kawiarni jak w dym. Tym bardziej że uwagi redaktora „Wuzet” wkrótce zostały uwzględnione i w lokalu zaczęły odbywać się dancingi. Cztery razy w tygodniu – we wtorki, czwartki, soboty i niedziele o godzinie 19 na podeście zasiadała orkiestra. I to jaka? Pięcio-, często siedmioosobowa, ubrana w jednakowe brązowe smokingi, składała się z muzyków zweryfikowanych przez branżowe stowarzyszenie. Zawsze towarzyszyła jej szansonistka. Taki był w „Mocce” standard i przestrzegać go musiał każdy z dancingowych zespołów. A zespoły zmieniały się, gdyż stowarzyszenie nie dopuszczało do monopolu i wyznaczało okresy obowiązywania kontraktów, z reguły półroczne.,

Najciasniej było na sobotnich i niedzielnych dancingach; pary ledwo mieściły się na parkiecie. By zdobyć już wejściówkę, czyli kartę konsumpcyjną za 10 zł (ta cena utrzymała się jeszcze w drugiej połowie lat 60.), trzeba było okupować lokal już od godziny 16-17, albo zarezerwować stolik dużo wcześniej. Potańczyć przyjeżdżali nawet goście z Łodzi, bo i dla nich kawiarnia stanowiła autentyczną atrakcję.

Są osoby, które z przekonaniem twierdzą, że „Mocę” odwiedzał sam Roman Polański (gdy studiował na łódzkiej „filmówce”) ze swym kumplem Wojciechem Frykowskim. Przyjeżdżali ponoć najczęściej skuterem Polańskiego – białą czerwoną lambrettą (utrwalona została w filmie „Niewinni czarodzieje” Andrzeja Wajdy) – którą również ponoć miał potem odkupić od najsłynniejszego studenta PWSTiF pabianicki student prawa Andrzej Kwaśniewski.

Dancingi były wieczornym standardem obowiązującym w „Mocce” bardzo długo. Traciły swój czarowny nimb powoli i niepostrzeżenie, przez rezygnację najpierw z wtorkowych, potem czwartkowych wieczorów, ale sobotnie i niedzielne utrzymały się do późnych lat 70. Zespołów muzycznych przewinęło się przez podest „Mokki” mnóstwo. W miarę jak się zmieniały, zmieniał się rodzaj granej przez nich muzyki, styl grania i aranżacje. Z pompy wieloosobowych ansambli w jednakowych garniturach zaczęto rezygnować pod koniec lat 60. Kontrakt na dancingowe granie miało wtedy niezapomniane trzyosobowe combo Zbigniewa Badowskiego, który cieszył się sławą powrotu ze swych muzycznych występów w restauracjach szwedzkich. On grał na saksofonie/klarnecie, na kontrabasie akustycznym sekundował mu brat Jerzy, brzmienie uzupełniało pianino bodaj walczaka. Grali z wyraźnym jazzowym filingiem, a lider lubował się w długich, misternie rozbudowanych sekwencjach improwizacyjnych, które w tanecznych ryzach utrzymywało zdecydowane, ale miękkie buczenie kontrabasu. Ech, to było granie! Do dziś ma się w uszach jeden zwłaszcza utwór Badowskich – ich muzyczne logo, od którego zaczynali każdy dancing, potem na życzenie powtarzali, a często również nim kończyli cały wieczór.

Trzeba też pamiętać, że „Mokkę” stworzono także do wyższych celów – kulturalnych. Odbywały się w niej spotkania z literatami, ludźmi teatru, podróżnikami i tym podobnymi „ciekawymi ludźmi” – jak wówczas ich nazywano. Przewinęła się ich przez lokal cała plejada (niektórzy po kilka razy): Jan Huszcza, Jan Koprowski, Grzegorz Timofiejew, Stanisław Brucz, Igor Sikirycki, Marian Piechal, Henryk Anders (prof. ASP), Henryk Walkowski (krajoznawca, obieżyświat, działacz PTTK), Włodzimierz Busiakiewicz (redaktor audycji muzycznych w radiu) i inni.

O tych spotkaniach tak pisał jeden z jego gości honorowych, Jan Koprowski w czerwcu 1959 roku: „Jest w Pabianicach kawiarnia, co zwie się „Mocca”. Lokal to pięknie urządzony, mogący konkurować z najlepszymi kawiarniami Łodzi (jeśli takie istnieją). Otóż w tej „Mocce” odbywają się od niejakiego czasu spotkania czwartkowe, gromadzące sporą ilość bywalców, zarówno ze starszych, jak i spośród młodzieży, którzy dyskutują na najrozmaitsze tematy, przeważnie jednak o sprawach kultury. Mówili tu już m.in. Stanisław Brucz o egzystencjalizmie sartrowskim i Grzegorz Timofiejew o Gogolu”. (ŻP z 7.06.).

Od czasu do czasu kawiarniany podest dla orkiestry służył jako estrada zapraszającym do kawiarni grupom wokalnemu, piosenkarzom, tancerzom. Odbywały się też na niej całkiem lokalne imprezy, z których największy bodaj rozgłos uzyskał konkurs na Najpiękniejsze Dziecko Pabianic. Wymyśliło go w roku 1958 Życie Pabianic. Przez kilka miesięcy zamieszczało na swych łamach nadsyłane przez rodziców zdjęcia, a czytelnicy głosowali na kartkach pocztowych. Finał z rozdaniem nagród i kinderbałem odbył się w „Mocce” właśnie. Zwyciężczynią okazała się czteroletnia Ania Kowalik, wyprzedzając minimalną różnicą sześciu głosów Bogdana Pawłowskiego. Reszta finalistów to kolejno: Krysia Gertner, Małgosia Szulc, Marysia Kasperska, Ela Krzemińska, Krysia Jurek, Beata Bartoszek, Jola Dobińska, Małgosia Kasperska, Grześ Andrzejczak, Mariusz Lewowski.

W „Mocce” było świetnie, a według niektórych za świetnie, więc uznano, że przydałby się jakiś skandalik. No i gruchnęła wieść o striptizie na dancingu! Miała go wykonać nie zawodowa bynajmniej tancerka (tak swobodnie jeszcze wtedy w Polsce nie było), a jedna z dziewcząt siedzących pośród gości. O sprawie napisano w łódzkich „Odgłosach”. (...) Autor tekstu, Julian Brysz (Andrzej Brycht) nie był naocznym świadkiem opisanego scenki, pisał reportaż na podstawie relacji z drugiej ręki. (...)

Reportaż wywołał burzę, a na łamach

Życia Pabianic pojawiła się pełna niedomówień (był ten striptiz, czy nie?) polemika pióra Tadeusza Wlazłowicza. Odparowuje on ciosy J. Brysza tak m. in. : „(...)Z widzenia znam Elżbietę i uważam, że to miła i sympatyczna dziewczyna. Ale po co ta przesada? Po co to gadulstwo? Niech pan Brysz przyjedzie kiedy do Pabianic w niedzielne przedpołudnie przy ładnej pogodzie. Zobaczy wtedy na deptaku „babki” takie, że z podziwu nogi mu wrosną w ziemię, straci oddech i trzeba go będzie cucić. Z tego tłumu Elżbieta – przy całej sympatii jaką mam dla niej – wyróżnia się najwyżej chyba wzrostem (...)”.

Nie wiadomo, kogo T. Wlazłowicz chciał bronić bardziej – owej p. Elżbiety, czy „prowincji, która się mści”, w każdym razie piekielko wokół jej osoby musiało się wtedy rozpętać w Pabianicach nieliche. Artykuł we „Odgłosach” miał wszak tytuł „Zemsta prowincji”, a polemika ŻP jednak „W obronie mszczącej się prowincji”. Trudno po latach komentować ten obyczajowy skandal, nie sposób jednak pominąć ramkowego ogłoszenia zatytułowanego „Przeproszenie”, które ukazało się w Życiu Pabianic nr 25 z 21 czerwca 1959 roku, a więc już po domniemanym striptizie, a jeszcze przed artykułem w Odgłosach. Oto jego treść: „Przepraszam ob. Elżbietę Baucz za bezpodstawne pomówienie jej jakoby w marcu br. W kawiarni „Mocca” w Pabianicach rozebrała się do naga, za co miała otrzymać 3.000 zł, albowiem fakt ten nie miał miejsca. Stanisław Stusio. Wola Zaradzyńska 21”.

Pabianice, Łódź, Wola Zaradzyńska – oto obszar sławy ówczesnej „Mokki”. Czy dalej już nie sięgała? Jakże nie! W styczniu 1959 roku, by uświetnić branżowe święto, dyrekcja MHD Artykułów Przemysłowych zaprosiła na akademię zespół popularnej radiowej „Zgaduj-zgaduli” i grupę towarzyszących mu artystów. Akademia odbyła się w hali przy ulicy Orlej. Artyści jak to artyści chcieli po występie napić się kawy. Udali się do „Mokki”. I tu spotkał ich afront.

Szatniarz najwyraźniej ich nie rozpoznał, oświadczył, że w kawiarni jest komplet i nawet nie chciał od nich przyjąć płaszczy. Pokręcili się po szatni i wyszli o suchych gębach. Nie popuścili jednak i napisali skargę do Życia Pabianic na takie ich potraktowanie. List opublikowano. Treść dotyczy tego, co wyżej, ale jakie podpisy! Same tuzy polskiej estrady: Maria Koterbska, Andrzej Rokita, Wacław Przybylski, Wiesław Śmigielski, Kazimierz Turewicz.

Tak, szatniarze to była w „Mocce” potęga! Jedni odchodzili, następowali kolejni. Trudno ich wszystkich pamiętać, ale takie nazwiska, jak: p. Kozubska (pierwsza szatniarka „Mokki”), Stanisław Sójka, p. Siniarska (pomagali jej za ładą córka i syn), a długo później Wiktor Adamczewski – do dziś chodzą po głowie.

Szatni dotyczy też jeden z mitów „Mokki”, którego nie będziemy weryfikować. Dotyczy bowiem już nie tylko kawiarni, ale całej ulicy Zamkowej (wówczas Armii Czerwonej), a więc głównej bohaterki naszej książki. Oto on:

Wywodził się z Pabianic Jerzy Hańbowski, polonista po uniwersytecie, który zaczął robić dziennikarską karierę w Warszawie. Odwiedzał swe rodzinne miasto dość często, a jak już wpadał, to z kolegami spotykać się miał gdzie, jak nie w „Mocce”? Przyjechał raz, gdy trwała już przebudowa ulicy Armii Czerwonej. Kocie łby zamieniano na granitową kostkę. Roboty wlokły się, bo zaszwankował rozdzielnik i do miasta nie dotarła w porę kolejna partia materiału z kamieniołomu. Rozgrzebane śródmieście zobaczył Hańbowski, a gdy w kawiarni usłyszał o powodach, zdenerwował się, wyskoczył do szatni i poprosił o telefon (szatniarz trzymał aparat pod ładą i udostępniał tylko na życzenie – odpłatnie.) Wykręcił numer, z kimś tam pogadał i wrócił do kolegów.

- Załatwiłem! – oświadczył triumfalnie.

- Co?...

- Jak to co? Kostkę!

- Jak?

- Zadzwoń do gabinetu wicepremiera Nowaka.

Kostkę za kilka dni faktycznie przywieziono. Nie było już z jej dostawą kłopotów do końca robót. Władze miasta z wdzięczności przydzieliły Hańbowskiemu mieszkanie w blokach poza kolejką. Przyjął je, ale nigdy w nim nie zamieszkał, bo budował już swoją coraz mocniejszą pozycję na samych szczytach polityki informacyjno-propagandowej. Doszedł później aż do szczebla zastępcy szefa Radiokomitego do spraw radia. Spadł z niego razem z Maciejem Szczepańskim.

[Nekrologi.wyborcza.pl](http://Nekrologi.wyborcza.pl) - Jerzy Hańbowski nekrolog

Z tą kostką to mit? Może, ale z dużą dozą prawdopodobieństwa. Wicepremier Zenon Nowak też wywodził się z Pabianic, a jedno słowo z jego gabinetu (choćby nawet nie przez niego wypowiedziane) mogło wówczas kruszyć całe góry z granitu.

Szczyt sławy i chwały „Mokki” przypadał na lata sześćdziesiąte, ale jeszcze w siedemdziesiątych był dość umiejętnie dyskontowany. Odwiedzać kawiarnię – to było w dobrym tonie. Całe rodziny oblegały lokal w niedzielne przedpołudnia, wiele młodych małżeństw przychodziło na dancingi (w połowie lat 70. karta konsumpcyjna kosztowała już 30 złotych), bale sylwestrowe w „Mocce” uchodziły za elitarne.

Sól klienteli stanowiła jednak pewna ograniczona grupa ludzi, którzy bez tej kawiarni nie wyobrażali sobie życia. Był to przedziwny konglomerat towarzyski – złożony ze starszej i młodej inteligencji, „złotej młodzieży”, „niebieskich ptaków”. Nawet gdy nie siadali przy jednym stoliku, to z czasem traktować się zaczęli jak znajomi.

„Starzy znajomi z Mokki” do dziś się rozpoznają, wzajemnie pozdrawiają, a wielu z nich nadal próbuje kontynuować dawne spotkania przy stolikach w nadziei wskrzeszenia legendy pod innym szyldem. Trudno byłoby przytoczyć tu pełną listę tych osób, ale kilka nazwisk aż prosi się o przywołanie. Spróbujmy przeto, nie siłąc się na podziały zawodowo-środowiskowe:

Minknerowie, Żurakowscy, Kwaśniewscy, Hansowie, Kowalowie, Szulcowie, Długaszewscy, Węgrzyn, Kasperscy, Ziembowie, Apostolidisowie, Wendlerowie, Weininger, Skrzyński, Stasiak, Welfel, Przysiężna (słynna rusycystka – wpadała gdy miała „okienko”), Rozwens, Grabski, Bajer, Zalescy, bracia Zaborowscy, Majewski, Małąg, Feliksiński, Michel, Rybałow, Pryceł, Bilecki, Pniewski, Łągiewicz, Zieliński, Jureczek, Szymanowski, Mik, Kostera, Tuzikiewicz, bracia Frejlichowie, bracia Pałuszyńscy, Sobański, Długaszewski jr, Kurzawa, bracia Rąbalscy, Berner (nie lekarz), Nawrocki, bracia Jankowscy, Somorowski, Skrzydłowski, Bartłomiejczyk, bracia Zawadowie, bracia Elsnerowie... (autorzy gorąco przepraszają niewymienionych).

Przesiadывanie w „Mocce” wielu z tych bywalców było specyficzne – na co dzień i już przed południem. Wpadali tam, nie umawiając się właściwie ani na konkretną godzinę, ani z konkretną osobą. Jak tylko lokal otwierano, ktoś za nich wchodził, siadał, pogadał z kelnerką, barmanką, zamówił herbatę, przejrzał gazetę. Nie upływało nawet pół godziny, jak w drzwiach pojawiał się następny bywalec, dosiadał się, czasem nie – ale coś do siebie zagadnęli, aż wchodził trzeci, następny. Przesiadывali, wychodzili, wchodzili następni, potem wracali ci pierwsi.

Popijali zazwyczaj herbatę lub kawę, czasem likier miętowy, który uchodził za alkoholową specjalite de la maison „Mokki”. Piwa nie serwowano. Chyba że był 1 Maja albo 22 Lipca – święta państwowe. Wtedy były dostawy ekstra i w kawiarni pojawiał się „Radeberger”. Aż się złościło na stolikach.

Jeśli jesteśmy już przy tym, co serwowano w kawiarni, nie sposób pominąć typowo „mokkowskiej” anegdoty. Jednym ze stałych bywalców był Aleksander Rybałow, emerytowany urzędnik wojewódzkiego szczebla. Lubił podobno mocną herbatę. Podawano ekspresową, więc on specjalnie prosił kelnerkę o wodę tylko do połowy szklanki. Szybko to obsługa pojęła i potem już bez dodatkowych uwag miał stały gość podane, jak sobie życzył. Ktoś to podpatrzył i dla żartu poprosił o herbatę „a la Rybałow”. Otrzymał bez powiek. Potem taka herbata weszła już na stałe do serwisu kawiarni, choć nie do jej karty dań, bo był to bądź co bądź dokument. To, że pan Rybałow wzmacniał sobie herbatę zawartością noszonej przy sobie piersiówki, nie wszyscy musieli wiedzieć.

Dań jako takich w lokalu było mało – tylko śniadania. Jajecznica po wiedeńsku cieszyła się największą popularnością, choć pani Helena Otomańska potrafiła zrobić i jajecznicę po wiejsku. Desery były natomiast przepyszne – wszystkie robione na miejscu przez mistrzynię tego gatunku, Rozalię Dębowską. Ptysie, szarlotki, krem sułtański, wuzetki, no i lody w pełnej gamie smaków.

Spotkania stałych bywalców trzeba odróżnić od randek z dziewczynami, które też się odbywały w Mocce, ale raczej wieczorem, najczęściej w soboty i niedziele. Bywalczy na swoich spotkaniach tylko o

tych randkach i dziewczynach gadali. Zresztą nie tylko o tym, bo praktycznie komentowali całe spektrum swoich codziennych spostrzeżeń, przeżyć, marzeń i fantazji. „Niebieskie ptaki” szpanowały, studenci wymieniali się swoimi uczelnianymi problemami, często – tak!tak! – żywo komentowano obejrzone w telewizji programy: od jazdy figurowej na lodzie po „doktora Kildare’a” i serię „Alfred Hitchcock przedstawia”, no i oczywiście sport.

Pod koniec lat 60. pojawiła się w „Mocce” gra w kości – tzw. pokerek. Trochę to obsługa próbowała zwalczać, ale mało skutecznie. Jakoś samo przyszło, samo minęło. Wcześniej były warcaby (może nawet szachy?) Te całkiem oficjalnie, bo szachownica z pionami była do wypożyczenia u barmanki. Mistrzem szachownicy był niejaki Cezary Nowicki, brat boksera (sam też miał niezłą posturę).

Z innych gier-zabaw, które sporadycznie pojawiały się w lokalu, warte przypomnienia są chyba tylko zakłady niejakiego Mordka (nazwisko autentyczne). O co? O to, że pogryzie kieliszek. Chrupał szkło średniej koniakówki w zębach jak sezamka, zostawała sama nóżka. Warunkiem wypłaty wygranej było pokazanie przez prezentera jamy ustnej, czy aby nie poharatana. Rozdziawiał więc Mordek gębę i pokazywał. Krwi ani śladu! Jeden z autorów tej książki miał szczęście być naocznym świadkiem takiego spektaklu, więc wszelkie analogie z red. Julianem Bryszem prosimy odłożyć na bok.

Od połowy lat 70. blask „Mokki” powoli zaczął gasnąć. Niepostrzeżenie dla grona stałych bywalców – choć w nim też następowała wymiana pokoleń (z małymi wyjątkami) – ale widoczna w odbiorze społecznym. Już tam tak tłumnie rodziny nie przychodziły, na dancingach bywało pustawo, po mieście krążyła fama, że „rządzą tam cinkciarze”. Odpornym to nie przeszkadzało, ale przeciętnym pabianiczanom zaczynały wystarczać domowe pielesze. Coraz więcej było „maluchów”, którymi ludzie wyjeżdżali w weekendy za miasto, pojawiło się parcie na działki letniskowe.

Niewiele pomógł gruntowny remont „Mokki” w roku 1975 (zmieniono stoliki i krzesła na „bardziej funkcjonalne” – jak to nazwało ŻP), wysiłki, by na dancingach wciąż grały dobre, profesjonalne zespoły (jak grupa Pawła Pokory z solistką Haliną Wołoch). Wciąż jeszcze kręciła się ta karuzela, wciąż na siodełka siadali ludzie, ale nie był to już ów szaleńczy upojny wir z pierwszej dekady funkcjonowania lokalu.

Stan wojenny postawił kolejną tamę jego popularności. „Mocca” została nawet na pewien czas zamknięta. Gdy ją ponownie otwarto, wszystko już było tylko wegetacją – na przetrwanie, na oczekiwanie, że może nastąpi jakiś cud. Nastąpił w 1989 roku. Miał na imię prywatyzacja. Kawiarnia przeczłogała się jakoś przez dwa lata, aż przejął ją wspomniany już wyżej restaurator (A. Nowaczyk). Zapach kawy, który – bardziej lub mniej intensywnie – unosił się w lokalu przez przeszło trzydzieści lat, ustąpił miejsca zapachowi kapusty i duszonego mięsa.

Restaurator wiedział jedno: na kawie, wuzetkach i innych deserowych łakociach pieniędzy się nie zarobi. A czasy przyszły na pieniądze łase, więc on – nie bacząc na tradycje lokalu – chciał zarabiać na tym, co najpopularniejsze – na prostym, obfitym, ale niezbyt drogim dla konsumenta posiłku. Serce się krajało starym bywalcom „Mokki” już nawet nie z powodu zmiany nazwy na pretensjonalną „Europe”, ale na widok tych serwowanych tam kopytek z żeberkami i zasmażaną kapustą, grochówek, bigosów. Restaurator, wyczuwając te nastroje, próbował reperować reputację lokalu nocnymi balami.

Były wtedy przystawki, przekąski, dekorowane stoły, ale sznytu tym balom brakowało. Nie pomagały nawet takie atrakcje, jak: występy iluzjonistów czy cała czereda dziewcząt miotających się po parkiecie na golasa (tzw. striptiz amerykański). Ludzi mało, echo w mieście żadne! I pomyśleć: raz się kiedyś rozebrała, czy tylko próbowała się rozebrać (licho wie) dziewczyna w „Mocce” i gadania było na rok! Trzydzieści lat później takie rozpasanie – i cisza. Może dlatego, że oficjalnie. Może dlatego, że to już nie była „Mocca”. Może dlatego, że ...

Dziś w miejscu, gdzie syczał duży barowy ekspres do kawy, bezszmerowo pracują komputery z danymi o każdym podatniku. W okienkach siedzą panie w białych jak śnieg bluzeczkach, podobnych do tych, jakie miały kelnerki w „Mocce” i nawet są podobnie uprzejme, ale jak porównywać

skarbowkę z kawiarnia.

Gastronomia kwitnie dziś w Pabianicach dziesiątkami barów piwnych, pubów, pizzerii, restauracyjek. Kawiarni nie ma. Nie te czasy, nie ta moda, nie ten konsument. Zdaje się, że w ogóle słowo „kawiarnia” ma już swoje miejsce tylko w lamusie historii. Bo kawiarnia „Mocca” spoczywa tam na pewno. Nie szczególnie, dopóki pozostanie we wspomnieniach ludzi. Ale gdy i tego zabraknie.

Nośmy więc chociaż my – pamiętający – we wdzięcznej pamięci tych kilka osób, bez których „Mocca” nie byłaby tym, czym była. Prymat w tym gronie bezapelacyjnie przypada Helenie Otomańskiej. Przepracowała w „Mocce” przez cały okres jej istnienia. Jako kelnerka i barmanka, a gdy było trzeba, chętnie zakasywała rękawy i pomagała na zapleczu pani Dębickiej w jej cukierniczych cudach (ale także w tłuczeniu brył lodu przywożonych z „Polfy”). Znała się świetnie także na garmażu (skończyła Technikum Gastronomiczne) i na wszelkiej gastronomii, więc częste niegdyś bale w „Mocce” perfekcyjnie swoim kunsztem obsługiwała. Dla młodzieży była „Panią Heleną”, dla nieco dojrzałych gości „Panią Helenką”, ale tak zrosła się z kawiarnią, że dla stałych bywalców stawała się „Heleną” lub „Helenką”, w czym jednak krył się pełny szacunek i dystans. Do dziś dzielnie wspiera (i nadzoruje) poczynania gastronomiczne swych dwóch córek w restauracji prowadzonego przez nie hotelu „Piemont”. Prawie taki sam staż w „Mocce” miała jej zawodowa towarzyszą Wacława Frankowska. Nie sposób zapomnieć ich nieco młodsze koleżanki: Marylę Bolonek, Lucynę Borkowską, Halinę Barańską, Irenę Stusio. Poczet kierowniczek lokalu tworzyły panie: Zagórska, Julia Komorowska, Lauer, Bobrowska.

A jednak znów jest „Mocca”!

Helena Błoch, która w starej „Mocce” przepracowała od początku do końca w imieniu swoich córek: Agnieszki, Barbary, Aleksandry serdecznie zaprasza do nowej kawiarni „Mocca” w nowym „Piemoncie” przy ulicy Kilińskiego. Szczególnie mile widziani bywalcy poprzedniej „Mokki”. (Kazimierz Brzeziński i Andrzej Gramsz „Ulica Zamkowa w Pabianicach – 1824-2004)

\*

„Mokka” bywała pretekstem do obserwacji obyczajowych. W 1959 roku w łódzkich Odgłosach ukazał się reportaż Juliana Brysza „Zemsta prowincji”.

Nagle przy jednym ze stolików daje się zaobserwować znaczne ożywienie. Zaciekawieni sąsiedzi spoglądają w kierunku przystojnej blondynki, starszego siwiejącego pana i dwóch czy trzech młodych mężczyzn. Spojrzenia koncentrują się na dziewczynie. Niespodziewanie zapada cisza, nawet orkiestra przestaje grać. Blondynka podnosi się i wystudiowanym krokiem przechodzi przez salę w kierunku szatni. Wszystkie głowy odwracają się za nią. Jest na co popatrzeć...

Za chwilę na salę powraca normalny nastrój. Orkiestra rozpoczyna znów swój senny repertuar. Tymczasem dziewczyna wkracza po chwili na salę ubrana w futro. Wspina się oto na krzesło, potem na uprzątnięty zawczasu stolik, jednym ruchem zrzuca z ramion futro. Jest zupełnie naga. Powolnym ruchem zgrabnie wyprostowana, obraca się wokoło na stoliku w takt melodii.

Przygodni widzowie kamienieją. Ale orkiestra nie przestaje grać. Muzykanci siedzą za filarem i nie widzą sceny. Trwa to wszystko kilkanaście sekund, po czym dziewczyna zeskakuje ze stolika, kuli się pod futrem i ucieka.

\*\*\*

Pani mecenas C., tutejszy adwokat, opowiada: „Wróciłam właśnie z mojego urlopu w Krynicy, dokąd jeżdżę każdej wiosny. Tego samego dnia byłam na przyjęciu imieninowym u znajomych, gdzie po raz

pierwszy usłyszałam o historii, która miała się zdarzyć w „Mokce”. Całe towarzystwo było poruszone. Wszyscy znali już przebieg niedawnego zaszłego „wypadku”, niektórzy słyszeli podobno o nim od naocznych świadków. Fakt, że byłam w towarzystwie jedyną osobą, która z racji nieobecności w mieście o niczym nie wiedziała, skłaniał wszystkich do dodawania coraz to nowych szczegółów do tej pikantnej historii. M. in. dowiedziałam się wówczas, że dziewczyna za swój wyczyn miała dostać od owego siwowłosego partnera 3000 zł”.

\*\*\*

W jednym z czerwcowych numerów Dziennika Łódzkiego na stronie ogłoszeniowej ukazał się okazały rozmiarów anons, zamknięty w ramce. Tekst brzmiał: „Przepraszam panią (tu następowało imię i nazwisko) za pomówienie jakoby w marcu br. W kawiarni „Mokka” rozebrała się do naga za co miała otrzymać 3000 złotych”. (podpis przepraszającego).

Tyle wiedzieliśmy na początek. Ogłoszenie należało raczej do niecodziennych, postanowiliśmy więc sprawdzić co się za nim kryje. Nie sugerowało ono zbyt wiele na temat samej sprawy, natomiast dawało dużo do myślenia o „kawiarni”, w której taki wypadek mógł się zdarzyć.

Konfrontacja nie potwierdziła naszych przypuszczeń, o czym czytelnik mógł przekonać się już na wstępie. Lokal to nobliwy, taki tamtejszy „Grand”, gdzie „życie” jeśli płynie, to raczej podskórnym nurtem. Każda z zapytanych kelnerek odpowiadała, że na jej dyżurze nic takiego nie było. Ale zarumienione buziaki i uśmieszki towarzyszące rozmowie kazały się domyślać, że chcą coś przed nami ukryć. Nie udało się nam jednak ustalić, którego z marcowych dni dokonał się wspomniany „strip tease”.

„Nie udało się ustalić dnia kiedy fakt miał miejsce – mówi p. mecenas C. – Od tego właśnie zaczynałam przygotowanie do sprawy, którą powierzyła mi zrozpaczona matka Elżbiety. Miałam występować w procesie o zniesławienie dziewczyny, o której całe miasto mówiło, że rozebrała się do naga w publicznym miejscu. Proces przeciwko komu? Oglądałam kiedyś film „Proces przeciwko miastu”, panowie sobie na pewno przypominają. Znalazłam się w podobnej sytuacji”.

Wszyscy „naoczni” świadkowie zniknęli nagle jak kamfora.

\*\*\*

Tymczasem dzieci wracające ze szkoły wytykały Elżbietę palcami, szwagier chciał się rozwodzić z jej siostrą, pochodzącą z „takiej” rodziny, całe miasto, gdzie życie skupia się na jednej „pryncypalnej” ulicy szeptało ... szeptało ...

Bezlitosna i żadna sensacji opinia małego miasta dorobiła dziewczynie rodowód. Podobno – mówiono- ciotka jej przed wojną wyskoczyła nago z okna jednego z łódzkich hoteli, gdy nakryto ją „in flagranti”. Podobno – mówiono- milicja zakończyła już zbieranie dowodów, a prokurator wszczął postępowanie. Będzie proces o obrazę moralności!

Tymczasem ani w milicji, ani w prokuraturze żadnych dowodów nie gromadzono.

\*\*\*

Tramwajem o godz. 22.09 Elżbieta wracała z koleżanką z teatru. Wtedy właśnie człowiek w mundurze MPK powiedział tak głośno, że słychać było w całym wagonie: „Patrzcie, to ta, co się rozebrała do naga za 3.000”.

Plotkę „złapano za rękę”, a jej nosiciela podano do sądu. Oskarżony tramwajarz doszedł z powodem do ugody, dał ogłoszenie do gazety i zapłacił koszty procesu. Był to proces typowo prestiżowy, oskarżonym stał się pierwszy z brzegu. Nie wyjaśniono nawet, kto puścił plotkę i z jakiego powodu.

„Elżbieta jest bardzo ładna” – powiedziała nam jedna z jej szkolnych koleżanek. Czy to aby nie dostateczne wyjaśnienie?

Gdybym był w skórze pani mecenas C. nie poczytałbym sobie tej sprawy za sukces. Ona też pewnie tak uważa. Tu był potrzebny „proces przeciwko miastu”. Chciałoby się, żeby nasz artykuł stał się początkiem postępowania dowodowego w takim właśnie procesie.

Elżbieta przez cały czas trzymała się dzielnie. Nie chciała porzucić pracy, ani uciekać z miasta, które wzięło ją na języki.

Zastaliśmy ją w domu nad miską pełną mydlin. Ucieszyła się bardzo, że chcemy jej zrobić zdjęcie i pisać o niej „do gazety”. Ma 20 lat i pracuje jako pielęgniarka e jednym z tutejszych zakładów. Że jest bohaterem krążącej po mieście historii, dowiedziała się chyba ostatnia od matki. Po usłyszeniu z ust matki „całej prawdy” nie przejęła się zbytnio. Wydawało się nam przez chwile jakby traktowała całą sprawę na wesoło, ale nie jest to poza czy chęć zaimponowania „prasie”. Elżbieta jest dziewczyną prostą, pozbawioną na szczęście tego, co nazywa się często „bogатым życiem wewnętrznym”.

Całą sprawę przeżyła za dziewczynę matka, przełożona pielęgniarek Pogotowia, osoba o nieposzlakowanej reputacji. Dopiero zachowanie matki, atmosfera procesu stremowały nieco dziewczynę. W jej dużych dziecinnych oczach zaczęły pojawiać się łzy.

Nie śmiała przez dłuższy czas odwiedzać kawiarni, chociaż dotychczas bardzo lubiła tam chodzić. Brakło jej towarzystwa, straciła możliwość wesołego spędzenia czasu. Pozostało tylko kino i ulubiony aktor De Sica.

„Co do siwowłosego partnera z kawiarni to mój kuzyn?” – wyjaśniła na zakończenie.

\*\*\*

Bardzo przepraszamy czytelników za przytoczenie na wstępie opisu zdarzenia, którego – powiedzmy to sobie wreszcie – nigdy nie było.

Musimy wyjaśnić: cały opis wypadków owego wyimaginowanego wieczoru nie wziął się z naszej fantazji. Nie stać nas na to. Zanotowaliśmy to „ze słyszenia” ze wszystkimi detalami. Fantazję wykazali obywatele miasta. Nic się nie stało ... A złośliwe języki, potworna plotka, która może odebrać dziewczynie cześć, zaszargać opinię na całe Życie?

Elżbieta jest młodą, naiwną dziewczyną, nie zdającą sobie sprawy ze społecznych konsekwencji historii, w którą została wplatana. Bawi ją nawet rola „bohaterki dnia”. Cieszy się, że jest w centrum uwagi, że mówi się o niej.

A gdyby trafiło na kogoś innego? Nierzadko takie wypadki kończą się samobójstwem. Zaszczucie człowieka przez opinię, prowincjonalna dulszczyzna wciąż nie przestaje nas straszyć. Elżbieta jest ładna, pociągająca, wesoła. Mimo ciężkiej pracy lubi się bawić. Jest „kims” – odróżnia się tym od szarego tłumu. A tego się nie przebacza.

Prowincja się mści.

Żona jednego z miejscowych lekarzy też jest „kims”. Więc właśnie dlatego wszyscy widzieli ją otrutą na katafalku w tutejszym kościele, dopóki zdrowa i opalona nie wróciła z urlopu. Skandal wokół

Elżbiety wkrótce wygaśnie, tak jak zostawiono w spokoju doktorową. Kto następny wejdzie "na tapetę". Obywatele miasta Pabianic, czcigodnego grajdoła na dalekiej prowincji – 16 km od wielkiej Łodzi, spieszczie się z nową "rozbórką". Macie coś lepszego do roboty?

Paskudny wieczór, siąpi deszcz. Ale we wnętrzu kawiarni „Mokka” zacisznie i przytulnie. Pluszowe dywany tłumią odgłos kroków, lustrzane ściany odbijają dyskretne, przyćmione światło kandelabrow, połyskują tafle gęsto okupowanych stolików. Prowincjonalny nastrój powagi towarzyszy zwykle wieczornym spotkaniom miejscowego high life’u.

Z rzadka rzucone głośniejsze słowo czy śmiech którejś z pań, mącą na moment monotonny rytm melodii płynącej z estrady. Potem znów półszepty.

[Zyciepabianic.pl](http://Zyciepabianic.pl) - Pamiętacie kawiarnię Mocca? Było goło i wesoło

\*\*\*

Autorzy „Ulicy Zamkowej w Pabianicach” zajęli się też następczynią „Mokki” czyli „Europą”.

(...) W swej ekspansji na coraz to większą powierzchnię pod biurka skarbowka wcześniej przypominała sobie o drugim budynku pod adresem Zamkowa 26, przylegającym do pałacyku.

Prowadził tam lokal gastronomiczny pod nazwą „Europa” Andrzej L. Nowaczyk – restaurator z ambicjami, który wyrósł na ajencji baru „Warszawskiego” i bardzo chciał się pięć wyżej po szczeblach gastronomicznej kariery. Przejął w 1991 roku podupadającą kawiarnię „Mocce” i stwierdził, że to jest jego szansa. Zaczął od „restrukturyzacji”, czyli zmiany nazwy lokalu oraz przekwalifikowaniu go z kawiarni na restaurację. Przetrwał w swej „Europie” dwa lata, ale urząd skarbowy pamiętał o księdze wieczystej i nie popuścił. Przejął w 1993 roku i ten budynek, gruntownie przemodelował jego wnętrze, zamurował wejście z ulicy, a nowe zrobił wewnątrz – z pałacyku; powstała duża sala do obsługi klientów. Nie gastronomicznej oczywiście, a urzędniczo-kasowej.

Andrzej Lechosław Nowaczyk musiał obniżyć swe gastronomiczne loty. Wynajął od „Pamoteksu” dawny „zielony pałacyk” przy ul. Kilińskiego (dawny, bo przemalowano go na brąz) i otworzył tam kolejny swój lokal, tym razem nawet z kilkoma pokojkami hotelowymi na piętrze. Zbyt długo ta działalność nie trwała. Nowaczyk pofrunął niżej – do minbaru przy ulicy Pułaskiego. Trzymał ten interes czas jakiś, ale już bez przekonania. To było jego ostatnie restauracyjne podejście w Pabianicach.

Ostatni bal w „Europie” opisała Gazeta Pabianicka z 13 maja 1992 roku.

Goło i wesoło było na balu w „Europie” zorganizowanym w 1-majową noc. Atrakcje, jak przystało na „europejski” lokal miały posmak erotyczny – od subtelного wdzięku ubranych nimfetek, czyli finalistek łódzkiego konkursu Miss Nastolatek, aż do pełnej golizny pokazanej w tzw. striptizie amerykańskim przez trzy na raz, też niestare, adeptki raczkującej w Polsce sztuki, sprowadzone z wojewódzkiej Łodzi. W tak zwanym międzyczasie prezentowano modę (ciut tylko podkreślającą powabne kształty nastolatek), iluzjonista wykonał kilka nieśmiertelnych numerów z kartami, chusteczkami i papierosami (ale bez królika), a striptizerka solowa poszamotała się nieco na parkiecie z szatami, pozwalając od czasu do czasu dostrzec swe nieco już przywiedle wdzięki.

Cztery gołe pupy w lokalu podczas jednej nocy to chyba absolutny rekord jak na nasze purytańskie miasto. Szef „Europy” Andrzej Nowaczyk nazwał to przecieraniem szlaków, choć pewnie szlag go trafiał, że na bal przyszło tak mało pabianiczian. Całe szczęście, że nie zawiodła pewna liczna rodzina cygańska, zapewniając pół lokalu.

My w każdym razie swoją obecnością, staraliśmy się frekwencję poprawić, najedliśmy się syta,

napilim i naoglądałim, czego nam już nikt nie odbierze. Podobala nam się też kapela Grzegorza Małolepszego, zwłaszcza w chwilach, gdy za mikrofon chwycił Jerzy Czapliński prezentując swój donośny baryton w repertuarze Cohena.

Trochę nas tylko denerwowały dzieciaki, które nie wiedzieć czemu szwendały się po lokalu. Całe szczęście, że po północy posnęły, najwyraźniej znudzone nie dla nich przeznaczoną zabawą. (kab.)

Autor: Sławomir Saładaj